

ANIOŁ STRÓŻ

Gazeta dla dzieci.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 2

CHOJNICE, dnia 11-go czerwca 1925 r.

Nr. 21.

Rosiczka.

W gorący dzień letni wybrała się gromadka uczniów ze swym nauczycielem na wilgotną torfistą łąkę. W porze ciepłej odbywali oni częste wycieczki na pola, do lasu i na piękne kwieciste łąki. Tu znajdowali mnóstwo ciekawych i ślicznych roślin, tam przyglądali się myszom polnym, mrowiskom, motyloom a nauczyciel opowiadał o wszystkim, co dzieci spotykały na swoich wędrówkach. Tylko jeszcze na owej łące mokrej a bezbarwnej nie byli nigdy.

Uczniowie znali ją zdaleka i wiedzieli, że tam pięknych kwiatów prawie nie widać. To też zaciekawienie ich było wielkie kiedy nauczyciel powiedział, że na łąkach torfiastych znaleźć można jedną bardzo dziwną roślinkę.

— A jak się ona nazywa? — spytał jeden z uczniów.

— Nazywa się rosiczka.

— Rosiczka? Poczem ją można poznać? — zapytał drugi.

— Po liściach okrągłych, czerwono-brunatnej barwy i okrytych włoskami.

A z czegoż ona tak dziwna? — zawołał trzeci.

— Ho, ho, jakiś ciekawy! powiem wtedy, gdy ją znajdziecie. Szukajcie. Ponieważ byli już na łące więc wszyscy szukać już zaczęli. Po chwili jeden z uczniów zawołał.

— Jest! Jest! znalazłem! Tak, to rosiczka: ma okrągłe, czerwone okrągłe listki, a na tych listkach włoski!

— Dobrze, Karolu, dobrze! Zuch z ciebie zawsze. Prawda, żeś znalazł rosiczkę — rzekł nauczyciel schylając się nad uszczęśliwionym Karolem.

Wszyscy uczniowie zbiegli się do rosiczki i zaczęli ją oglądać. Była to mała, niepokazna roślinka. Drobne jej listki wyrastały na długich ogonkach tuż przy ziemi i ułożone były w kółko tak, jak promienie gwiazdy. W samym środku z pomiędzy tych listków wznosił się niewielki badylek, a na jego wierzchołku znajdowały się kilka drobnych białych kwiatów. Listki usłane były małymi włoskami z głową na końcu, a na każdej główce błyszczała kropelka płynu.

— Patrzcie, koledzy jaka na niej rosa! — zawołał jeden z uczniów, Władzio.

— Właśnie, że to nie jest rosa, tylko jakiś sok lepki: widzisz, jak przylega do palców? — odpowiedział Karol.

— A tak, rzeczywiście! — potwierdzili inni.

— Do czego jej służy ten sok? — zapytał Władzio nauczyciela.

— Ja się domyślam, — krzyknął Karol — że to pewno muchy przylatują tutaj i karmią się tym sokiem, a może pszczoły zbierają na młód?

Ledwie to powiedział, przyleciała muszka i usiadła na brzegu listka. Myślała biedaczka, że się poży-

wi, ale stało się inaczej. Ugrzęzła w soku, jak w błocie, i nie mogła się stamtąd wydobyć. Oprócz tego stała się rzecz dziwna. Jak tylko muszka usiadła na brzegu, włoski na listku poczęły się ku niej zginać i powoli, powoli spychały ją aż na środek listka. Wszystkie dzieci pootwierwały usta ze zdziwienia.

— Koledzy, trzeba muszkę uwolnić od kłopotu — zawołał Karol.

Uczniowie nie zgodzili się na to, bo bardzo byli ciekawi, co też ta rosiczka robi z muchą.

Kiedy już biedaczka była na środku listka, wszystkie włoski pochylły się nad główkami do niej i oblepiły ją swoim sokiem. Oprócz tego brzegi listka zaczęły się zaginać ku górze i nakoniec zamknęły się nad muchą. Była teraz jakby pogrzebana w listku rosiczki...

— Cóż się stanie z muchą? — zapytał Władzio nauczyciela.

— Rosiczka ją spożyje, podobnie jak my zjemy pieczyste. Czyż nie dziwna roślinka?

— Dziwna! nadzwyczaj dziwna! pan chyba żartuje? — wołały naprzemian dzieci.

— Bynajmniej. Rosiczka wpija się w ciało muszki, swemi włosami i wysysa z niej sok. Wykopmy tę roślinkę, zanieśmy ją do domu i posadźmy w doniczkę. Po paru dniach zobaczycie, że listek się rozchyli, a z muszki zostanie tylko cienka skórka. Oprócz rosiczki jest jeszcze kilkanaście podobnych roślin. Nazywają się one owadożerczami, bo się karmią owadami.

Dzieci znalazły na łące jeszcze dużo rosiczek, wykopały ich aż kilka, zaniósły do domu i posadzały w doniczkach. Niektóre przykryły drucianą siatką, aby muchy do nich dostać się nie mogły, a inne pozostawiały bez nakrycia i dawały im codziennie to kawałek mięsa, to sera, to muszkę. Po kilku nastu dniach pokazało się, że te, które były przykryte wyglądały daleko gorzej od tych, którym dawano mięso i muchy. Rosiczki pod siatką, byłyby nawet zwędły, gdyby nie to, że swojemi grubemi korzonkami mogły sobie zdobyć jaki taki posiłek z ziemi. Gdyby korzonki te były ciensze, toby soki mogły łatwiej przez nie przesączać, ale rosnać w mało pożywnym torfie, odwykły od roboty, i grubiały. Włochate więc listki musiały dopomagać korzonkom w żywieniu się tej dziwnej rośliny.

Czyny nauczające.

Pochlebca zawstydzony. Najniebezpieczniejszym stworzeniem na ziemi, jest pochlebca, mawiał uczonec grecki Bias. Napoleon 1-szy cesarz Francuzów, widocznie podzielał zdanie wielkiego filozofa starożytności, gdyż niczego więcej tak nienawidził, jak pochlebców.

Wiadomem jest każdemu, jaką nieśmiertelną sławą okryła Napoleona I-go wielka bitwa stoczona dnia 2 go grudnia roku 1805 pod Austerlitz, w której wojska niemieckie zupełnie pobite zostały.

Otóż gdy cesarz Francuzów powrócił z tej wojny do Paryża, książęta, ministrowie wszyscy wyżsi dostojnicy kraju, pospieszili do pałacu witać bohatera i składać mu powinszowania.

Pomiędzy innymi stawił się też i Denan, dyrektor muzeów. Ten chcąc przyjemność zrobić swemu monarsze, kazał na cześć zwycięstwa pod Austerlitz, wybić nowe medale, a udając się do pałacu zabrał je ze sobą, aby zaraz na wstępie [pokazać cesarzowi.

Jeden z tych medali przedstawiał z jednej strony popiersie cesarza, z drugiej orła francuzkiego, trzymającego w swych szponach angielskiego lamparta.

Kiedy cesarz zbliżył się do dyrektora muzeów, ten skłoniwszy się głęboko, podał mu medal.

— Cóż ma to znaczyć? zapytał Napoleon.

— Jest to orzeł francuzki, który dusi lamparta angielskiego, z widocznym zadowoleniem] odrzekł Denan.

— Szkaradny pochlebco! zawołał gniewnie cesarz jak śmiesz mówić, iż orzeł francuzki dusi lamparta angielskiego, kiedy nie mogę wyprawić na morze ani jednego okrętu, aby go zaraz Anglicy nie pochwytili. Zniszcz mi w tej chwili ten medal i nie pokazuj mi nigdy podobnych, gdyż nienawidzę kłamstwa.

Zawstydzony pochlebca odszedł upokorzony, a obecni, w tej scenie ministrowie z większym jeszcze szacunkiem patrzyli odtąd na Napoleona, bo jeżeli pochlebę godzi się nazwać nędznikiem, to przyjmującego pochlebstwo za prawdę, strasznie niemądrym. Gdy się w sumieniu czuje zadowolenie, to najwyższa nagroda człowieka, o tę się starajcie a nigdy o cudzą pochwałę.

Saneczki Jasia.

Podług Andersena.
(Dokończenie.)

Tu starzec odsunął srebrzystą zasłonę i oczom Jasia ukazała się ziemia jego rodzinna. Dokoła niej widział gwiazdki świecące i migocące złotym blaskiem. Słoneczko chowało ostatnie swe promyki w dali za sine chmurki, a z przeciwnej strony wjeżdżał na niebiosy blady księżyc. Ciemno się już dokoła robiło, a w dali świeciło coś i błyszczało. Jasio wpatrywał się w ten punkcik, zobaczył swój pokoić na ziemi, widział swe łóżeczko i siebie na niem; widział ojca i matkę płaczących obok, bo myśleli, że złoto-włosy Jaś umarł. Scisnęło mu się serduszek na ten widok, zachwiał się i byłby upadł, gdyby nie św. staruszek, który go w swe ramiona pochwylił.

Jaś westchnął głęboko, oczka jego zaszyły małą ką i składając drobne rączki, wyszeptał:

— O pozwól mi dobry Boże wrócić na ziemię! pozwól ujrzeć jeszcze rodziców, pozwól mi żyć jeszcze!

Wesołe pienia doszły do jego uszów, muzyka słodka, dziwna niebiańska napawała jego duszę, serce mu biło gwałtownie.

W tem usłyszał głos łagodny, głos Boga wszechmocnego:

— Wróć się dziecię moje, wróć do rodziców, których tak kochasz.

I Jaś wrócił.

Gdy się obudził, leżał jeszcze w swem łóżeczku, widział ojca i matkę, która go za rączkę trzymała. Uśmiechnął się do niej, objął za szyję i tży miłości dzieciecej radości i szczęścia spłynęły mu po wesołej

Koło niego na stoliczku stało pyszne „Boże drzewko“, a pierwsze co Jaś spostrzegł wśród blasku palących się świeczek były małe saneczki podobne całkiem do owych, na których we śnie do nieba podróżował.

Dzieci na jagodach.

Przeszedł święty Jan,
Pozostawiając pełen jagód dzban.
Hej! do lasu, hej! do lasu,
Nie marnujmy próżno czasu.
Idźmy żwawo wraz.

Patrzcie! patrzcie! o poranku,
Będzie pełno jagód w dzbanku;
Bo gdzie spojrzeć w którą stronę,
Tu są czarne, tam czerwone;
Wszystkie wabią nas,

Ach! Ty Boże mój
Jakż ptasząt rój,
Pełne krzaki, pełne drzewa,
Jedno kuka, drugie śpiewa,
To szare, to pstre.

Czegoż wszystkie naraz nucą;
Czy się cieszą, czy się kłóca,
Takim krzykiem, takim śpiewem,
Jakby łajać chciały z gniewem,
Za jagódki te.

Cicho ptaszki! dość ich wszędzie,
I nam będzie i wam będzie,
Czerwienią się w trawie krocie,
Starczy ludziom na łakocie
I na pokarm wam.

U nas w chacie głód i bieda
Jutro matka w mieście sprzeda
Te jagódki, bo potrzeba,
Na przednówku soli, chleba,
Na posiłek nam.

Więc niech Pan Bóg nam pozwoli,
Biednej matce w wdowiej doli,
Ując pracy, ując męki
I trudnami własnej ręki
Inną pomoc dać.

Póki letnia pora sprzyja,
I nie bronj moc niczyja,
Wybiegajmy codzien z chaty,
By bez próżnej czasu straty,
Choć jagódki rwać.

Bo kto w pracy wiek swój trawi,
Temu Pan Bóg błogosławi,
Przez swej łaski cud.

On mieć będzie w swej pamięci,
Biednych sierot dobre chęci
I ich cichy trud.

Trwałe kwiatki.

Rzekła raz Zosia do swojej mateczki:
Gdybym mogła mieć takie kwiateczki,
Coby mi kwitły przez zimę i lato!

Matka dziewczeczce odpowie na to:

„Grzeczność, wesołość są kwiatki takie:
Zimą czy latem zawsze jednake,
Nigdy nie więdną owe kwiateczki,
Latają one, a nie miłe dziateczki